№ 35.

ROK VII.

Serja Druga.

Biόro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Świata Nr. 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 18 (30) Sierpnia 1871 roku.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11 1/4, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33 3/4). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* **u Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

MICHAŁ BAŁUCKI.

Pomiędzy przedstawicielami najnowszéj naszéj literatury, Bałucki wybitne zajmuje stanowisko. Talent jego torował sobie drogę rozwoju w różnych rodzajach twórczości literackiéj, znacząc swe ślady utworami często natchnionymi, a zawsze pełnymi żywotności myśli i siły przedstawienia.

Urodzony 1838 roku w Krakowie; po ukończeniu szkół i studiów uniwersyteckich, rzucił się odrazu na ciernisté łono literatury. Nieliczne kółko młodzieży, związało w owym czasie dłonie bratnie, w celu rozszerzania oświaty i kształcenia w massach estetycznego smaku. Bałucki był duszą tego stowarzyszenia, popierając jego cele gorącą myślą i dzielną energią czynu. Za staraniem tego kółka założono pierwszą w Krakowie Czytelnię publiczną, która w krótkim czasie licznych znalazła zwolenników.

Wkrótce potém pierwsze poezye Bałuckiego ukazały się w Dzienniku literackim lwowskim. Były to utwory młodzieńcze, silne uczuciem, słabe formą. Przyjęto je z zapałem, jako objawy prawdziwego talentu, doświadczającego młodzieńczych skrzydeł. Niedługo czekano na próby wyższego i śmielszego lotu. Już w r. 1861 ukazały się dwa większe poematy Bałuckiego p. t. „Cicha miłość i Bez chaty“ które zjednały autorowi rozgłos i sławę poety.

Zachęcony powszechném uznaniem, Bałucki wstąpił jako stały współpracownik do redakcyi czasopisma „Niewiasta“ wydawanego podówczas przez J. Turowskiego. Do tego dziennika wykończył poemat historyczny p. t. „Ziemowit książę Mazowiecki“ który wszakże mniejsze od poprzednich utworów poetycznych miał powodzenie. Jednocześnie zaczął probować sił swoich na polu powieściowém. Drobne utwory w tym kierunku, jak „Dwie siostry“ — „Zapóźno“ i „Oczy Maryni“ przypominały ogólną charakterystyką i tonem, piękne nowelle Dickensa.

W 1865 roku, przeniósł Bałucki swą literacką działalność do Warszawy, ale na czas krótki. W Tygodniku Illustrowanym drukował większą powieść p. t. „Ojcowska wola;“ w któréj ujawnił już poważniejsze studia nad życiem i znaczny postęp artystycznéj budowy.

Powróciwszy do Krakowa, odegrał bardzo czynną rolę w dziennikarstwie galicyjskiém. Żywy jego umysł silnie interesował się kwestyami bieżącemi, rozbierał je i przedstawiał w różnolitéj formie. Bałucki prowadzi dotąd przeglądy życia umysłowego i społecznego, w szpaltach kilku pism, — pisze rozbiory krytyczne i tworzy wiele powieści tendencyjnych, które obok niepospolitych zalet artystycznych odznaczają się jeszcze wyrazistą ideą postępu, siłą przekonań liberalnych i głębokiém wniknięciem w wady ustroju społecznego.

Do rzędu tych powieści liczą się: „Żony niewolników.“ „Odpuść nam jako i my odpuszczamy“ „Rywale i karykatury“ „Hermanowe grzechy i kłopoty“ — wreszcie „Żydówka“ z którą czytelnicy naszego pisma w roku bieżącym zapoznać się mieli sposobność.

W ostatnich czasach, Bałucki napisał kilka utworów dla sceny. Dwie jego komedye: „Radcy pana radcy“ i „Polowanie na męża“ były przedstawione w Warszawie. Trzecia nosząca tytuł „Pracownicy próżniacy“ otrzymała drugą nagrodę na konkursie Krakowskim w roku zeszłym.



Michał Bałucki.

W komedyach Bałuckiego przebija się wiele dowcipu i umiejętności odtwarzania scen i postaci z codziennego życia. W układzie artystycznym znać jednak jeszcze pewną chwiejność, łamanie się z trudnościami sztuki, w któréj autor pierwsze dopiero stawia kroki. „Radcy pana Radcy i Polowanie na męża“ nie wyrażają przytem żadnéj myśli ogólnie ludzkiéj, stanowiąc raczéj jaskrawą karykaturę stosunków i postaci czysto miejscowych. Wielka żywość akcyi, cechująca wszystkie utwory sceniczne Bałuckiego, każe jednak przypuszczać, że talent jego i w tym kierunku wyżéj wzbić się zdoła.

Na zakończenie, pozwalamy sobie jeszcze wystąpić z treściwym, sumarycznym wnioskiem, jaki, o ile nam się zdaje, możnaby wyprowadzić z przeglądu wszystkich razem utworów Bałuckiego, by tym sposobem ułatwić czytelnikom scharakteryzowanie talentu i wartości w dzidzinie literatury dzisiejszéj, tego autora.

Otóż według nas Bałucki jest jednym z tych piszących, którzy jeszcze stanowczo sami sobie nie powiedzieli, na jakim celu i na jakiéj drodze mianowicie, większą dozę swéj pracy składać mają społeczeństwu, z różnicą tylko tym razem, że to niezdecydowanie się jego i chwiejność, pod rzeczonym względem, przyczyniły się właśnie do większéj jego popularności i sławy.. okoliczność, która bardzo dziwną i niemożebną nawet wydawać się komuś może a która niemniéj przeto jest taką naprawdę.

Bałucki zdaniem naszém jest talentem przeważnie *natchnienia* nie zaś *refleksyi*. Dowodem „Cyganka“ i inne jego z wcześniejszych występów publicznych, utwory. Mając jednakże w duszy spory zapas tego, co się nazywa *filozofią życia*, przełożył

w ostatnich czasach pracę przeważnéj refleksyi nad tworzenie w dziedzinie czystéj poezyi.

Stąd owa ciągła *połowność*, iż tak się wyrazimy, spotykana w utworach ostatnich tego autora. Traktując w koncepcyach z dziedziny sztuki o przedmiotach, które głębszych i bardziéj wyczerpujących potrzebują studiów, ubliża często sztuce, robi w niéj szczerby, nie powiększając przez to plonu, zbieraniem którego poważne i specyalne nauki społeczne zajmować się winny;—z drugiéj strony znowu, mając do czynienia z przedmiotami obchodzącymi ściśle te ostatnie, daje się uwodzić wrażeniom i przez wpadanie w zbytni zapał właśnie, zamiast podwyższać doniosłość myśli swoich, rozwiewa je na mgliste kommunały lub robi z nich tylko sztuczne fajerwerki.

Będąc takim, zyskuje sobie jednakże, jak to już wyraziliśmy się, większą popularność u publiczności, która zawsze za rzeczy poważnéj wiedzy podane jéj w sympatycznéj formie, choćby te nie były wcale wyczerpująco traktowane, owszem właśnie dlatego, że takiemi nie są, darzy autora większym, niżby to zrobiła za poważniejszą pracę, oklaskiem.

Na tém kończymy.

ŚPIEW RUSAŁEK.

Liljo złamana,
Perło zbrukana,
Gasnącéj gwiazdy promieniu;
Zajaśnisz krasno,
Zaświecisz jasno,
W naszego nieba sklepieniu.

My wszystko z siebie,
Na naszém niebie,
Tworzym i bierzem i dajem;
Co próchnem, błotem,
Staje się złotem,
I świat ten u nas jest rajem.

Gwiazdy, księżyce,
I słońca lice
Myje się, kąpie się z nami;
Ono mknie daléj
Gdy my w swéj fali —
Słońcem, księżycem, gwiazdami.

W tych wód krysztale,
Plenią się stale
I kwitną cudne ogrody;
Bo u nas niéma
Zimy — co zima,
Nie znamy — ani co chłody.

Szczęścia miłości,
Uciech, młodości,
Kto pragnie—za szczęściem kto goni,
Nie w modłach niedzielnych,
Nie w progach kościelnych,
Lecz znajdzie w Rusałek je toni.

Więc liljo złamana
I perło zbrukana,
I słońca gasnący promieniu,
Zejdź do nas a jasno
Zaświecisz i własną
Odzyskasz znów barwę w wód cieniu.

Aleksander Groza.

JESZCZE O HAMLECIE.

przez

BOGUMIŁA ASPISA.

Czém jest właściwie Hamlet?—wszyscy się pytają o to i każdy według pojęcia, jakie sam ma o życiu, o sztuce i o Szekspirze, daje o nim inne, własne i zwykle odmienne od orzeczeń poprzedników swoich, definicye.

Wiek XVII nie rozumie go prawie wcale i nie ocenia. Hamlet w tym wieku, schodząc niby duch tylko pokutujący od czasu do czasu na scenę, wydaje się tłumom patrzącym na nią jak jakieś nieznane dla nich i obce całkiem ich życiu zjawisko, po którém, gdy znika, zostają tylko zagadki w myśli, smutek i niezadowolenie w sercu.

Sceptycyzm XVIII-go wieku, w osobie przedstawiciela swojego: Voltair'a, nie chce już zupełnie prawa tego, ukazywania się Hamleta oczom ludzi, uznawać nawet; szydzi z niego, jak z nędzarza, co chodzi po prośbie, zbierając jałmużnę na pomnik dla Szekspira, pastwi się nad nim i zaprzecza mu całkiem wkońcu dramatycznego istnienia. Wyśmiany i wyszydzony, Hamlet zdaje się potém skonać gdzieś już w ciszy na zawsze, gdy oto.. przybywa Goethe.

Wielki mąż ten wskrzesza go znowu, ogłaszając wyrok bytu i życia ponad drzemiącym w śnie zapomnienia bohaterem. Powiada sentencyonalnie, że to człowiek, któremu zbytnia *krewkość* jego natury przeszkadza do spełnienia *tragicznego* czynu. „Człowiek taki ciekawy dla nas!—wyjdźcież z nim co prędzéj!"—wołają tłumy znowu i... patrzą się i chcąc sprawdzić czy Goethe nie wygłosił fałszu, słuchają mowy *obudzonego*, badają go, śledzą go bacznie i—znowu go nie rozumieją.

Hamlet pogrzebany napowrót..

Wtém, w pół wieku po nowéj téj śmierci *księcia duńskiego*, ze skalpelem myśliciela-analityka w ręku, skalpelem, którym tyle już rzeczy rozebrał i rozjaśnił, przybywa—Wiktor Hugo.

Zdjąwszy głowę z korpusu śpiącego dziwadła,—co przecie już skutek jakiś zapowiadać się zdaje,—*anatomik* ten w odciętéj głowie doszukuje się pokładów, z których mózg jéj jakoby zlepionym został przez twórczość niewyczerpaną Szekspira. Bogataż to głowa, kiedy tak ją ćwiertować i roskopywać trzeba!.. Cóż jednakże sam ten nowy operator z mozolnéj téj pracy swojéj nam przynosi?—Oto kilka ogólnych uwag: że Hamlet jest to bohater, pod którego czaszką trzy pokłady ducha, jeden na drugim, niby w górze napełnionéj metalem, spoczywają; że pierwszy z nich jest pokładem *cierpienia*, drugi—pokładem *myśli*, trzeci—*fantazyi* pokładem.

Oświecono-ż nas przez to bardziéj niżeliśmy byli?—zrozumieliżeśmy przez to więcéj niż przedtém Hamleta?—Nie.

Hamlet więc jest sfinksem?

Chyba i to nie.

Raczcie posłuchać oto, jeśli chęć macie po temu, jak pewien prostaczek o przemądrym tym *duńskim książęciu*, pozwala sobie raz jeszcze rezonować i sprobójcie rozważyć potém, czyby czasem, na zasadzie tych nowych rozmyślań jego, Hamletowi nie nadać już prawa obywatelstwa pomiędzy nami, lub też, czy go znów, jako pokutującego ducha, przyjąć tylko pomiędzy siebie na chwilę, ugościć i.. jako takiego potém z życia znowu wyłączyć potrzeba?

Czém jest ludzkie życie?—pytam się was przedewszystkiem.

Odpowiadacie mi, że—snem..

odpowiadacie, wy inni tam znowu, że... jakkolwiek nie snem właściwie, to wszakże—złudzeniem tylko, widziadłem, m arą, którą śmierć rozwiewa i niszczy co chwila..

odpowiadacie inni, że.. przejściem po ziemi tylko dla zyskania sobie przytułku w drugim tam, zagrobowym świecie..

inni, że.. ścieraniem się wiecznêm *złego* i *dobrego* z sobą, dla ostatecznego zwycięztwa tego ostatniego, to jest: *dobra*.

inni... No, tysiące zdań jest o życiu.

Więc może posłuchacie i zdania mojego?

Moje zdanie o życiu, tu, ziemskiém, jest takie:

Życie—jest to *samowola żywiołów zamknięta w klatce*..

No—nie śmiejcie się, proszę, z tego co mówię. Nie śmiejcie—bo wam oto tu wręcz dodam jeszcze, i tego zarówno mocno bronić będę, że Szekspir, ów ubóstwiony przez was Szekspir, tworząc ku potrzebie własnéj czy waszéj ten świat wielkich rzeczy, którym się dziwicie i wydziwić dotąd nadość nie możecie,—tworzył go patrząc podobnież na życie i têm samêm grunt jego sondując pojęciem.

Weźcież bo wszystkie razem tegoż Szekspira utwory.

Wnurzywszy się w treść ich głęboko i zsumowawszy w jeden ogólny wniosek wszystkie wrażenia odebrane przy têm rospatrywaniu się w ich treści,—cóż na dnie ich wszystkich, ostatniém, znajdziecie?

Spokój—jak na dnie oceanu.

Spróbujcie przy pielgrzymce waszéj przez pokłady tego zaczarowanego świata, podpatrzéć Szekspira na jakiémś wahaniu się w przedstawieniu téj lub owéj strony, tego lub owego działu swojéj kreacyi. Nie dokażecie tego. Zobaczycie, że tworzył wszystko w uznaniu, że jest jednakowo ważném i potrzebném; tworzył nie pytając się o wrażenie, jakie na was ta lub owa rzecz sprawić może.. wywoła li strach czy zdumienie, niesmak czy zgrozę, sympatyę dla niego waszę lub przeciwnie.

Spróbujcie także, gdybyście chcieli, wy zawsze ludzie jakiegoś *koła*.. ludzie rodziny, domu, ulicy, miasta.. pewnéj określonéj miejscowości, kraju, części świata.. gdybyście, mówię, chcieli słysząc głos twórcy, który was po świecie tym swoim prowadzi, dosłuchać się w tym głosie jekiegoś wyłącznego tylko tonu, coby pasował w całém objęciu swojém do ciasnéj—piersi waszych i waszego serca, muzyki; wskazał wam, że Szekspir w serce to i w pierś waszę cały wchodzi, zamyka się w nich i w nich cały rostapia.—Nie dokażecie znowu tego.

W głosie Szekspira znajdziecie harmonję i w harmonii téj wszystkie waszych własnych piersi drżenia; ale w niéj nie będzie nigdy wyłącznego śpiewu na cześć jednéj tylko, specyalnéj jakiéjś miłości waszéj ku czemuś. Siła tonów będzie jedna, ale nie jedno wzniesienie się ich i droga, którą przelatać będą powietrze, bo przeciwnie, w téj drodze dół i górę atmosfery, wschód jéj i zachód jednakowo obejmą—spłoszą w przelocie jednakowo orła na skale jak i małą muszkę w dole na kwiatku—zakłócą spokój każdemu atomowi w przestworzu, lecz same spojne i niezmienne w sile płynąć będą pomiędzy niebem i ziemią, niebu i ziemi jednakowo wtórując w ich głosach.

Szekspir jest moralny!—zawołają znowu inni. W dramatach jego zawsze *dobro* bierze ostatecznie górę nad niecnotą, nierządem, zawiścią, zbrodnią; zawsze *złe* jest karane, wyszydzane, wyśmiane, przedstawione wstrętnie oczom społeczeństwa—więc Szekspir społeczeństwo w budowie jego podpiera, utrwala porządek i ład tradycyjny jego; nic w niém nie niszczy, nic nie obala, a buduje tylko i stwierdza je wszędzie.

Moralny!...

I myślicie, że owinąwszy go w ten ciepły powijak, którzyście sobie z włókien pozostałych po mózgach wielkich ludzi i z waty własnéj *mierności* utkali,—upieścicie go już nadosyć? uśpicie jak Dalila Samsona i ostrzygłszy mu według swojéj miary głowę, poszlecie do jednego z klasztorów dla ostatecznéj kanonizacyi?

Szekspir *moralny!*—Tak jest!—Żywą prawdę mieć ciągle na oczach duszy; w prawdę tę się tylko patrzéć; nią tylko zajmować i ją tylko kreślić wszędzie a wszędzie,—czynność taka niemoralną-ż być może?

Lecz.. powiedzcie, pod jaki sztandar *moralności* swojéj zaciągniecie ducha Szekspira?

Czy on Torów, czy Wigów według was protoguje?

czy Falstaff kosztuje go mniéj atramentu niż Romeo?

pragnie-ż zyskać więcéj współczucia dla króla Leara niż dla Otella?..

więcéj podziwu dla Julii niż dla Lady Macbeth?

jest-że dlań Kupiec Wenecki czémś mniéj wartém opisu od księdza przy grobie Ofelii?

wysławia-ż tenże Szekspir Desdemonę kosztem Gertrudy w Hamlecie?

A Hamlet! ów sam Szekspir! (uprzedzamy, co mamy dowodzić), kreślony-ż jest przez niego z większą miłością niż głupi grabarz w tragedyi tegoż imienia?

No szukajcie moraliści!

Może przecież ów geniusz wieków choć raz się w chórze z wami odezwie i powié wyraźnie: „chcę tego a nie chcę tego—temu rozgrzeszenie, a tego prosto do piekła!“

Szekspir moralny!

I wiecie-ż wy naprawdę, co to moralność? Znacie-ż wy cele prawodawców waszych?..

Odpowiecie może — „znamy“ i zatém.. rozważywszy rzecz mądrze a głęboko i widząc, że Szekspir zamiast z wami razem, jak to byście wyżéj tam chcieli, oskubywać świat z narosłych na nim orlich tu i owdzie piórek, by go w poczciwą kaczkę zamienić, jeszcze mu nowe skrzydła przypina przeciw wam i pragnieniom waszym,—widząc to, mówię,—może postanowicie jeszcze na wspólnéj radzie, wydać go za.. depravatora oczom tłumów?

No, spróbujcie tego dokazać, jeśliście potężni. Stanie wam zaraz Poloniusz z tragedii Hamleta na drodze—zapyta—„a ja za co razem z tymi“? „Czyżem nie wasz brat rodzony, moi kochani?“ „Cóżem zawinił przeciwko prawom waszym“?.. I wskaże wam jeszcze cały szereg figur poza sobą z tegoż samego mózgu Szekspira wyklutych, którzy zaprotestują przeciw pręgierzowaniu autora Brutusa, Macbeth'a, Otella, Leara i Shylocha! Złóżcie zatém ręce i idźcie lepiéj na przedstawienie „Hamleta“.

Lecz to właśnie mi przypomina o właściwym celu téj gawędy mojéj.

Czegóż bowiem postanowiłem sobie dowieść wam w jéj krótkim ciągu? Czy może, że twórca wspomnionego dopiero „Hamleta“ bóstwem jest a nie człowiekiem, jak tego, a przynajmniéj mało mniéj od tego, chce Gervinus? — czy, że Szekspir, jako jakiś nie do pojęcia fantom téj ziemi, wlał w kreacyę tę swoję coś więcéj nad to, co ziemia rozumieć i ziemia przyjąć w siebie może? lub, czy przeciwnie.. chcę dowieść, że „Hamlet,“ jako twór stojący poza krańcami prawdziwych warunków *dobra* społeczeństwa, nie wart jest tego wyjmowania go ciągłego z grobu i że go zatém, jako *licho* bruździące tylko na scenie, na wieki już w katakombę złożyć należy? Nie. Wszystkiego tego dowieść nie chcę — nie czuję potrzeby — nie mogę. To ostatnie niech was najbardziéj przekona?

Ją chcę dowieść, że „Hamlet“ nie jest wcale żadnym sfinksem ani dziwacznym utworem, żeby go każdy aktor grał po swojemu i każdy krytyk po swojemu rozbierał, a że jest owszem jasnym, wyraźnym, wypełnionym pomysłem Szekspira i że tenże Szekspir, tworząc go, nie myślał wcale go robić: ani tyle dzikim, paradoksalnym, fantastycznym, ile tego chce Voltaire i Francya prawie cała; ani *krewkim* tyle, by nie mogąc być nadość *tragicznym*, zajmował sobą pięć długich aktów.. tragedyi jednakże, — jak tego chce Goethe; że nie jest także, jak chce Gervinus, młodzieńcem, który o tyle trudnym jest do pojęcia, ile jest nieziemskim i dla ziemi za górnym; ani, że Hamlet na kadłubie swoim nosi głowę z owymi trzema pokładami, których się w niéj Hugo ku zdziwieniu świata dopatrzył, a co ostatecznie stawiłoby go na równi z bardzo, bardzo wielką liczbą ludzi nie mającą wcale pretensyi do znacznéj nad innymi wyższości; —

że, mówię, Szekspir wszystkiém tém wyłącznie bohatera swego robić nie myślał, a zrobił go..

No czém? — spytacie.

Raczcie poczekać jeszcze — to wszystko się zaraz sam pokaże.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Z KRONIKI NAUKOWEJ.

Słówko wstępne—Projekt nowéj organizacyi naukowéj we Francyi—Premia i konkursa wyznaczone przez Towarzystwo Holenderskie nauk w Harlem.—Wyprawa niemiecka do bieguna północnego.—Wypadki naukowe z niéj otrzymane. Życie krzewiące się w głębi morza.—Dysputy o darwinizmie prowadzone w Paryzkiém Stowarzyszeniu Antropologiczném.—Wieczory Czwartkowe.

Literatura nasza naukowa z ostatnich lat dziesięciu niezmiernie uboga — prac poważnych oryginalnych szukaćby wypadało na półkach księgarskich ze światłem Drummonda — natomiast powieści, utworów poetyckich i belletrystycznych mamy zasób niepospolity. — Objaw to dość smutny a wymowny.—Widocznie więcéj nas pociąga to, co bawi, co działa na nerwy czucia — niż to, co myśl do pracy zaprzęga, co działa na nerwy ruchu społecznego. — Na kierunek ten po większéj części wpłynęła nasza prassa peryodyczna, zajmująca się wszystkiem, tylko nie nauką, odrzuconą po macoszemu na ostatnie plany, lub podawaną w dozach iście homeopatycznych.

Przepraszamy za te uwagi czytelnika, metafizyków i ideologów — pragniemy postępu uwzględnienia potrzeb czasu, w którym nauki przyrodnicze zajęły wszędzie poczestne stanawisko — a przytém, chcemy potrosze usprawiedliwić wprowadzenie rubryki niniejszéj do Opiekuna domowego.

W sprawozdaniach jéj, starać się będziemy pomieszczać to wszystko, co ma zmiązek z ruchem w naukach przyrodniczych — z postępem wiedzy w tymże kierunku — podawać choć pobieżnie wypadki odkryć, wynalazków, jako też treściwe rozbiory ważniejszych dzieł wychodzących w kraju lub za granicą, a odnoszących się do działu przyrody. Czyżby wprowadzenie tego rodzaju rubryk w innych poważniejszych organach naszéj prassy nie było również na dobie? — czyż nam zbywa na zdolnych pracownikach?— niechżeby raz ów brak zapełniony został w sposób odpowiadający potrzebie.

Francya zaczyna się odradzać, odżywiać. W paryskiéj Akademii nauk pracują obecnie nad projektem nowéj, szerokiéj organizacyi instytucyj naukowych. Reforma to konieczna. — Straszliwe klęski wojny, najwybitniéj okazały wadliwość dotychczasowego systemu. Francuzi pokonanymi zostali nie przez wojska pruskie, ale przez armię bakałarzy, jak się ktoś arcytrafnie wyraził. Jeżeli kto w téj mierze ma jaką wątpliwość, niech zajrzy do statystyki. W Niemczech liczymy przynajmniéj dziesięć instytutów politechnicznych, a w każdym z nich kształci się 400—600 uczniów.—Przyjmując cyfrę ludności państwa niemieckiego na 35 milionów, jeden taki zakład naukowy przypadnie na $3^1/_2$ miliony mieszkańców. We Francyi istniały tylko dwie szkoły politechniczne, na 37 milionową ludność, czyli jedna na $18^1/_2$ milionów mieszkańców. Stosunek zatém intelligencyi francuskiéj do niemieckiéj byłby jak 1 do $5^2/_7$ — cyfry to wymowne, a byłyby jeszcze wymowniejsze gdybyśmy zestawili z sobą porównawczo szkółki elementarne obu państw, przed sześcioma miesiącami wojujących. Fakty opłakanego stanu szkół we Francyi są liczne. Któżby temu uwierzył, że tak rozległy kraj, z bogatymi swymi zasobami, z tradycyjną misyą cywilizacyjną, posiada dotąd *tylko jednę katedrę matematyki wyższéj*, zajmowaną przez Chasles'a! W Niemczech, Anglii, w Stanach zjednoczonych, uniwersytety są hojnie uposażone; szkoły posiadają niemniéj zasobne fundusze, któremi same zarządzają. We Francyi od czasu pierwszéj rewolucyi, państwo objęło w administracyę wszelkie zakłady naukowe, niewiele się troszcząc o ich rozwój. W projekcie reformy zwrócono też głównie na to uwagę. Członkowie uczonego ciała żądają autonomii dla uniwersytetów, pozostawiając nad nimi protektorat rządowi. Dotąd Paryż dawał administratorów, profesorów, stanowił budżet, układał program wykładów. W projekcie o tém wszystkiém ma myśleć szkoła. Nie wchodzimy w szczegóły nowéj organizacyi zakładów naukowych, gdyż zachodzi wielkie pytanie, czy uzyska aprobacyę rządu; notujemy tylko fakt w każdym razie znaczący — Francya chce się dźwignąć, bo też od lat sześćdziesięciu pozostawała w zastoju moralnym i umysłowym, gdy tymczasem Niemcy, od czasu kongresu Wiedeńskiego, wzięli się gorąco do pracy, z któréj dziś zbierają owoce.

* * *

Stowarzyszenie holenderskie nauk w Harlem wyznaczyło dwa wielkie medale złote, każdy wartości 500 florenów — jeden z popiersiem Huyghensa, drugi Boerhaave'go. Medale te mają być naprzemian co dwa lata przyznawane uczonym wszelkiéj narodowości, przykładającym się najwięcéj do postępu nauk fizyczno - matematycznych i przyrodniczych.

Medal Huyghensa ma być przyznany w r. 1874 za chemję— w 1878 za astronomję — 1882 za meteorologję — w 1886 za prace z matematyki czystéj i stosowanéj. Medal Boerhaave'go udzielonym będzie za mineralogję i geologję w r: 1872—za botanikę w r: 1876— za zoologję w r: 1880 — za fizyologję w r: 1884 — za antropologję w r. 1888. Po upływie tego ostatniego roku, medale w tymże porządku i kolei następujących po sobie lat parzystych, rozdawane będą. Niezależnie od tego, na ostatniém posiedzeniu tegoż Towarzystwa, medal Huyghensa przyznanym został Clausius'owi za jego prace termodynamiczne.

Obok tego stowarzyszenie zawezwało uczonych do rozwiązania rozmaitych kwestyj konkursowych, z których ważniejsze wymieniamy:

Skreślić na podstawie poszukiwań anatomicznych i mikrochemicznych, sposób powstawania żywicy roślinnéj i jéj znaczenie objaśnić.

Opisać historyę rozwoju dębianek i knoprow powstających na dębach, z zakłucia drzewa przez owady znane Galasówkami (Gallicolae) nie pomijając przytem zmian morfologicznych, anatomicznych i chemicznych, zachodzących w tkance roślinnéj.

Wykryć drogą doświadczalną, czy korzenie roślinne dają jakie wydzielenia, i w tym razie, zbadać naturę tak wydzielanych materyj.

Napisać krytyczną ocenę dzieł Chrystyana Huyghensa, tak ze stanowiska nauki temuż badaczowi współczesnéj, jak i obecnego stanu wiedzy.

Określić wływy rozmaitych barw widma na wyziewanie części zielonych roślin.

Podać opis systematyczny roślin jawnokwiatowych, w morzu się krzewiących.

Rozprawy konkursowe mają być przesłane towarzystwu najpóźniéj w dniu 1 Stycznia 1872 roku.

* * *

Z kolei wypada nam mówić o plonach, jakie zebrała nauka z wyprawy niemieckiéj na ocean lodowaty.

Inicyatywa jéj należy się Augustowi Petermannowi, dyrektorowi instytutu jeograficznego w Gotha, autorowi wielu pięknych prac odnoszących się do fizyki kuli ziemskiéj. Za jego staraniem Vogel w r. 1861 zwiedził wnętrze Afryki, następnie Gerard Rohlfs badał północne, a Karol Manch południowe strony téj części świata. W roku zaś 1868 i 1869, wyruszyły dwie wyprawy do bieguna północnego, na uorganizowanie których, za sprawą Petermanna, otwarto składki publiczne w całych Niemczech. Obol ubogiego rzemieślnika, wpłynął do jednéj kassy z ofiarami królewskiemi.—Pierwsza z pomienionych wypraw już wróciła z dość ważnym zasobem spostrzeżeń; druga wyprawa znajduje się obecnie w okolicach bieguna. Kapitan Koldewey, dowodzący pierwszą, wyruszył na okręcie *Germania*, małym statku objętości 80 beczek, z osadą dziesięciu ludzi. Instrukcye wskazywały mu dotrzeć jak najbliżéj bieguna, posuwając się wzdłuż brzegów zachodnich Grenlandyi — lub przejść około wysp Spicbergu i wylądować na brzegach ziemi Gillis.—Eskadra wypłynęła z Bergen, miasta portowego Norwegii, 24 Maja, wróciła zaś 30 Września, po czteromiesięcznéj podróży. Poczyniła ona liczne sondowania, obserwacye meteorologiczne i hydrograficzne. Burza jaka zerwała się w dniu 30 Maja, przeszkodziła osadzie widzieć malowniczy cypl wyspy Jana Mayena. Pierwsze lody spotkano w cztery dni póżniéj, pomiędzy 74° — 52' szerokości północnéj, a 2° — 27' długości na zachód południka Paryskiego. Od 9 do 21 Czerwca, Germanję trzymały potężne góry lodowe; — majtkowie w tym czasie ubili mnóstwo niedźwiedzi białych, schwytali też żywcem fokę i olbrzymiego rekina. Koldewey notował obserwacye nad magnetyzmem ziemskim. Okręty wreszcie wydobyły się z matni, i posunęły ku Spicbergowi; 28 Czerwca statki żeglowały w morzu temparatury cieplejszéj, między 75°—11' szerokości północnéj, a 14 stopniem długości zachodniéj. Wody,

powiada sprawozdanie, cechowały się odcieniem błękitnawym, unosiły drzewa i rośliny morskie. Z drzew najwięcéj było modrzewiu syberyjskiego; niektóre z pni dostrzeżonych dochodziły 17 cali pols. grubości. Trzeciego Lipca eskadra dotarła do przylądka południowego Spicbergu, poczém zwróciła się na wschód. Sondowania dokonane między przylądkiem Look - out i wyspą Baeren, okazały głębokość toni nie większą od dwudziestu sążni. Trzynastego Lipca osada zwiedziła przylądek Middlez, o którym lord Dufferin pisze następnie:

„Najwybitniejszemi cechami świata biegunowego: cisza, spokój i martwota. Panoramą otaczającą tu człowieka są tylko lody, skały i woda — najlżejszy szelest nie przerywa uroczystego spokoju, morze nawet milknie. Żaden ptak, żadna ożywiona istota nie budzi téj samotni. W pół mgłą przysłonięte słońce, rozlewa tajemnicze światło na góry i lodowce; ani jedno źdźbło roślinne nie kiełkuje w téj odrętwiałéj przyrodzie. Na całéj powierzchni kuli ziemskiéj nie znajdziecie okolicy podobnie naznaczonéj pieczęcią śmierci.“—Lody pod 80⁰—13¹ szerokości, zatrzymały znowu okręty, które zniewolone zostały ustąpić przed ich naciskiem. Morze przedstawiało wtedy osobliwszy kontrast, barwiąc się naprzemian w pasy błękitne i zielone. — Temperatura pierwszych była gorętszą, drugich o kilka stopni zimniejsza. Germania w dniu 5 Sierpnia zwróciła się pod 76 stopień równoleżnika, gdzie napotkała kolosalne powały lodu. Powietrze było tak przejrzystém, że z odległości 50 mil angielskich rysowały się wyraźnie brzegi Grenlandyi. Lody pływające dochodziły potężnéj bryłowatości, masy ich spójne, bez żadnych rozpadlin, były niekiedy rozległe na mil czterdzieści. Po przebyciu straszliwego orkanu, statki pożeglowały na północ — 18 Sierpnia zbliżyły się do wyspy Moffen, przebyły następnie cieśninę Hinlopen i zarzuciły kotwicę w bliskości przylądka Torell. Pozostawano tu aż do 11 Września, wyczekując pękania lodów, mających uprzystępnić drogę do brzegów ziemi Gillis. Wrzeczy saméj, lody stałe, tworzyły w téj stronie silną zaporę, od północy zaś lody pływające mniéj kolosalne, lecz najosobliwszych kształtów, niemniéj utrudniały żeglugę. Lody te, powiada Koldewey, przedstawiały się to w postaci olbrzymich głów cukru, to wysp z ich grotami i przylądkami, to jaskiń wykutych artystycznie, to wreszcie wyobrażały kolosalne namioty, z których zdawało się że wyjdzie gospodarz i osadę powita. Lodowiska odtwarzają tu powieści *z Tysiąca i jednéj nocy*, w całéj ich poetycznéj szacie; wędrowiec bez kabalistycznéj formuły „Sezam, otwórz się“ — przenika w tajemniczą pracownię głębi wodnych.

Od czasu do czasu, głuchy łoskot oznajmia rozkład dokonany przez ciepło. Spadkowane grzmoty, niby pioruny straszliwego orkanu, słyszeć się dają, i po chwili spostrzegamy potężne bryły lodu z trzaskiem toczące się w przepaściste topiele, wpośród obłoków piany morskiéj. Olbrzymie odłamy lodu odrywają się od macierzystego pnia i tworzą oddzielne ławice. Jakże małym czuje się wówczas człowiek w tym świecie — jakże lichemi wydają się jego arcydzieła, obok wytworów wielkiego mistrza, który się nazywa Naturą.

Studia meteorologiczne i magnetyczne odbywały się ciągle w czasie pozostawania eskadry w cieśninie Hinlopen. Koldewey mógł tu sprawdzić, że ziemia Króla Wilhelma tworzy wyspę wpośród przylądka, jak to znajdujemy na pięknie opracowanéj karcie stref biegunowych p. Nordenskjölda, członka ostatniéj wyprawy szwedzkiéj. Tymczasem lody stałe od południa cieśniny pozostawały nieruchome, broniąc przystępu do ziemi Gillis, jak strażnik nieugięty. Ziemia ta na wielu mapach nosi nazwę *Bajecznéj*, gdyż nikt na nią dotąd nie wstąpił od r. 1707, w którym na wschód od wysp Spicbergu odkrytą została. Germania dotarła 13 Września pod 81⁰ — 5¹ szerokości północnéj; w trzy dni potém cofnąć się musiała przed zawałami gór lodowych, piętrzącemi się ze wszech stron. Trzydziestego Września wylądowano w porcie Bergen.

Jakkolwiek Germania nie zdołała zbliżyć się do bieguna, to przecież zebrała ważne spostrzeżenia, odnośnie do temperatury powietrza i wody, ciśnienia barometrycznego, kierunku i siły wiatrów, tudzież prądów morskich. Temperatura powietrza okazała stopień znacznie niższy od normalnego, wskazanego na kartach izotermicznych stref położonych na północ Norwegii. Maximum temperatury obserwowanéj w okolicach przybiegunowych dochodziło 8⁰, 1 ciepłomierza stustopniowego — minimum wynosiło 4⁰, 2 w sierpniu. Zresztą zmiany w temperaturze nie były znaczące; osada też Germanii pod względem sanitarnym nie pozostawiała nic do życzenia. Powietrze zdrowe, nie ulegające nagłym oscylacyom termometrycznym, zapewnia pobyt w tych szerokościach dość przyjemny. Wycieczki w te okolice staną się zapewne dość częste, i być bardzo może że w niedalekiéj przyszłości, jaki sprytny przemysłowiec otworzy na wyspach Spicbergowych wielki zakład gastronomiczny, urządzony z komfortem, i ściągnie tu chciwych wrażeń turystów.

Średnia temperatura na wyspie Baeren, dochodzi w zimie 10⁰, 7 — w czasie wiosny 9⁰, 5—w lecie 2⁰, 3—w jesieni 2⁰, 4 według notowań Sieverta Tabiesena. Temperatura morza przy powierzchni oscylowała pomiędzy 5⁰, 7 i 1⁰ 7 stopniem; średnie ciśnienie barometryczne wskazywało 738, 37 milimetrów. Najwyższa wysokość barometru odpowiadała wiatrowi wschodniemu, najniższa wschodnio-południowemu. W notowaniach Koldeweya znajdujemy zaznaczonych 117 ciszy—83 prądów wiatru północnego — 65 prądów północno-zachodniego—46 północno-wschodniego — na 773 obserwacyach, dokonywanych w upływach czterogodzinnych czasu. Często wiejące wiatry północno - wschodni i północno - zachodni, nie przedstawiają zresztą nic nadzwyczajnego. Podobnie jak prądy morskie, masy powietrzne więcéj ruchliwe, posłuszne są prawom ciężkości, ulegają wpływom ruchu obrotowego ziemi, odbywającego się od zachodu na wschód. Powietrze to, rozrzedzone pod palącém niebem równika, wznosi się w wyższe warstwy atmosfery, i pozostawia próżnię, którą zapełniają bezwłocznie sąsiednie masy powietrzne, płynące od biegunów. Gdyby ziemia była nieruchoma, prądy kompensacyjne zwracałyby się wprost ku równikowi nie zbaczając od swych południków. Prąd północny biegłby w linii prostéj ku południkowi — prąd zaś południowy ku północy, a razem oba spotykałyby się pod równikiem. Co innego wszakże zachodzi w skutek ruchu obrotowego ziemi. Masy powietrzne płynące od biegunów, zbaczają coraz więcéj ku zachodowi, w kierunku przeciwnym obrotowi ziemi; a w następstwie tego, prądy biegunowe uderzają skośnie na płaszczyznę równika, pod kątem ostrym. Prąd półkuli północnéj zwraca się więc w kierunku od strony północno - wschodniéj, na południowo - zachodnią — prąd zaś półkuli południowéj, zmierza w kierunku od strony południowo - wschodniéj, ku północno-zachodniéj. Ztąd to wynikają przeważne prądy wiatru północno - wschodniego i zachodniego, w strefach biegunowych. Koldewey zaobserwował też jedną osobliwość w owych prądach. Wiatr powiada, w naszych strefach umiarkowanych, zwraca się zwykle w kierunku pozornego ruchu słońca. Przy biegunach odwrotnie, prądy wietrzne występują w przeciwnym kierunku, chociaż na południe 75 równoleżnika zwracają się prawidłowo. Koldewey ztąd wnosi, że wiatr południowo-zachodni nie spotyka się wcale z prądem biegunowym północnym, pod 75 stopniem szerokości — gdzie panują prawie wyłącznie wiatry północne. Według obserwacyi wyprawy niemieckiéj, średnia siła wiatrów dochodzi pod wspomnionemi szerokościami 3, 5 (*) licząc w to i cisze — średnia zaś siła burz wynosi 8, 4. Wogóle wiatry zimne okazały się być gwałtowniejszymi od ciepłych. Wśrodku oceanu lodowatego panują najsilniejsze burze, sprowadzane zwykle przez wiatry północne i wschodnie. Orkany trwają krótko, ale natomiast są srogie niepospolicie. Śniegi i mgły przychodzą od północy, lub od strony północno - zachodniéj. W cieśninie Hinlopen deszcze, śniegi i mgły są bardzo częste. Sprowadza je prąd wietrzny wschodni.

(Dokończenie nastąpi).

PRASSA PERYODYCZNA.

(Dalszy ciąg).

Dziś już po latach doświadczenia, po zbadaniu i ocenieniu wszelkich środków istotnie rozporządzalnych, mianowicie zaś po obliczeniu na palcach, dwóch rąk jedynie, ilości literatów zamieszkałych w Warszawie, którzy mogą rzeczywiście stale i zdolnie współpracować do pism tu wychodzących — nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że pismo każde, nie wyłączając nawet gazet (chociaż te codzienne organa przeważnie politycznéj treści, swobodniéj się rządzić mogą), musi być podzielone na pewne stałe rubryki, stanowiące zasadniczy program jego — a już jest rzeczą redakcyi, czy kollaboratora prowadzącego rubrykę literacką, czyli raczéj może belletry-

(*) Siła wiatrów oznacza się skalą liczb od 0 do 12; wiatry przyjazne żegludze pozostają w odstępie cyfr od 0 do 8 — numera zaś kolejne od 8 do 12 odpowiadają burzom.

styczną, rozprzestrzeniać jéj ramy i ożywiać rozmaitemi, ze wszystkich działów literatury pięknéj, materyałami.

Więc do téj rubryki mogą wchodzić, zarówno poezye jak powieści, zarówno dramaty jak komedye, a nawet niekiedy i tłumaczenia wyborowych dzieł z obcego piśmiennictwa. Wszelako starać się należy ażeby każdy z takich belletrystycznych utworów posiadał rzeczywistą wartość duchową, a pomimo to jednak nie nużył czytelnika formą bezkształtną lub nie usypiał go monotonną, czyli wprost mówiąc, ogołoconą z życia treścią. Lecz głównem zadaniem redakcyi powinno być utrzymanie wspomnianych już stałych rubryk, w jak najżywotniejszym stanie; liczba ich i podział, mogą być rozmaite, odpowiednie do celów i ogólnego programu pisma, lecz obrobienie powinno koniecznie zalecać się, nietylko pięknością stylu, gruntownością myśli i świeżością wyobraźni,—ale nawet i przedewszystkiem, posiadać w sobie to tajemnicze ciepło duchowe czy serdeczne, które tylko prawdziwy talent w każdy swój utwór wlewa. Nawet dział najważniéjszy a pozornie wymagający więcéj erudycyi i głębokości niż ozdób stylowych i natchnienia, to jak dział seryo krytyczny, nie powinien być ogołocony z tego ożywczego ciepła, gdyż w przeciwnym razie, chłodnie i sztywnie wyrażone argumentacye, choćby i głęboko wyrozumowane, *dowiodą* może założonego przez recenzenta twierdzenia, lecz nie *przekonają* czytelnika do głębi, nie zespolą go z jego sądem — nie dadzą mu *wiary* w przekonanie samego krytyka. A o takie ciepło żywotne w artykułach, szczególniéj też krytycznych i poglądowych, nie łatwo — bo pochodzi ono tylko z ognia idei płonącego w duszy pisarza i z rzeczywistego talentu, który choć i bezwiednie nawet, zawsze jakąś iskrę natchnienia z pióra na papier rzuci..... Wiemy to dobrze, iż żądając ażeby każda rubryka w pismach literackich, obrabianą była przez ludzi mających ideę i talent razem, wymagamy bardzo wiele.... a znając dokładnie cały kapitał intellektualny, rozmieszczony po głowach literatów warszawskich i wiedząc na pewno, ile i który może dać procentu piórem — wątpimy, czy nietylko wszystkie tu istniejące organa prassy peryodycznéj, lecz czy nawet jeden z nich chociaż, w tak aż szczęśliwych warunkach egzystować może. — Więc też zdanie to nasze o obowiązkach redakcyi i o opracowywaniu stałych rubryk po pismach tutejszych, stawiany bardziéj jako zasadę, domagając się zrealizowania onéj, jedynie od takich organów które jak „Kłosy" naprzykład, posiadają dostateczne środki. Jeżeli „Kłosom" tak jak i innym pismom tutejszym, brakuje zdolnych i odpowiednich współpracowników, to niech ich sobie, choć powoli wyrobią. Wielu jest zdolnych i utalentowanych nawet może, młodych a dziś całkiem nieznanych ludzi, którzy pod kierunkiem doświadczonéj redakcyi, prędzéj lub późniéj, wypracować się i usposobić dostatecznie potrafią — ale trzeba właśnie, takie świeże i zdolne pióra wyszukiwać i wyrabiać a do tego nie dość dobréj woli — ale i umiejętności i znawstwa i przenikliwości trzeba. Z takiego posiewu plon bywa czasem bardzo obfity, bo tylko coraz świeżemi, nieprzesiąkłemi rutyną i zdawkową frazeologią piórami, można zasilać pismo i utrzymywać w niém żywotne siły. Wszystkie redakcye w ogóle, a szczególniéj pism możniejszych w materyalne środki, powinny zająć się pilnie takiém rekrutowaniem i wyrabianiem młodych pisarzy; — nietylko obowiązek poważny i prawo do zasługi ale i osobisty interes ich egzystencyi, w tém właśnie leży. Bo wreszcie, ogół czytelników znużony już jest i znudzony nawet, czytaniem jednych ciągle autorów, którzy po większéj części, wyczerpawszy już z siebie ożywcze zdroje natchnień, wystudziwszy życiem i wiekiem, owe ciepło serdeczne i duchowe o którém wyżéj wspomnieliśmy — stali się, mniéj lub więcéj, robotnikami raczéj „biegłymi w rzemiośle" i ciągle garściami jednych i tychże samych frazesów rzucają po szpaltach, które obowiązkowo zapełniać czémś przecież muszą. W tém to zapewne leży najgłówniejsza przyczyna braku w pismach tutéjszych owéj *żywotności* o którą się u nich dopominamy tak natarczywie.—Pospolitym, choćby i najbieglejszym nawet i najsumienniejszym grajkom, nie uda się złożyć harmonijnego koncertu—a tém mniéj ułożyć go z własnych kompozycyi. Dziś, zwłaszcza gdy wyższa nauka w ogóle dla wszystkich uprzystępnioną tu została, gdy czyste i głębokie źródła wiedzy stoją dla młodzieży więcéj niż dawniéj otworem, dziś każdy młody, lecz rzeczywisty talent ma sposobność objawić się świetnie—lecz trzeba mu podać ku temu sposobność i środki— to jest właśnie obowiązkiem każdéj rozumnéj i pojmującéj swoje zadanie jak i bacznéj na swój interes Redakcyi. Wypada nam teraz powiedzieć słów kilka o mniejszych zakresem, choć często ważniéjszych nawet celem i dążnością, niektórych pismach warszawskich. Do liczby takich należą bezwątpienia: „Zorza i Izraelita" dwa Tygodniki mające silnie oznaczony kierunek. „Zorza" jest organem przeznaczonym dla wiejskiego i miejskiego ludu, czyli dla włościan i drobnych oficyalistów, a po części i dla służących na wsi, oraz dla wszelkich klas robotniczych i wyrobniczych, po miastach i miasteczkach. Rozumie się, że zadaniem takiego pisma, jest w stylu przystępnym, prostym, lub w formie zajmującéj parafrazy, roznosić światło nauki pomiędzy ubożuchnemi w duchu rzeszami; przedewszystkiem jednak starać się tam należy o umoralnienie tych warstw społecznych, za pomocą wskazywania im obowiązków, stawiania zacnych przykładów, uwstrętniania złych czynów i rujnujących zdrowie i dobrobyt nałogów. Otóż „Zorza", przyznać należy, o ile jéj skromne środki pozwalają, stara się widocznie odpowiedzieć takiemu zadaniu. Niesłusznie jedno z większych pism codziennych i jedno z mniéjszych, tygodniowych, zarzucały niedawno „Zorzy" iż nie wypełnia swoich obowiązków i po fałszywéj postępuje drodze. Zapewne—doskonałości i w téj Redakcyi nie ma.... grzeszy ona niekiedy dawaniem lub tylko „traktowaniem" artykułów z których żadnego pożytku specyalni jéj czytelnicy nie odniosą, lecz daje często, przeważnie nawet, takie właśnie utwory, które wprost do pojęcia ludu trafić i jasno mu przedmiot dany wytłumaczyć mogą. Spotykamy tam często i wierszyki udatne, w których niewiele wprawdzie kunsztownéj formy i wysokiego artyzmu, lecz obfitość zdrowéj myśli i poczciwego uczucia się mieści — spotykamy powiastki, gdzie wystawiane są w przykładach, skutki wad i złych nałogów, znajdujemy objaśnienia pierwszych zasad niektórych umiejętności mających związek ścisły z gospodarką rolną, lub fachem rzemieślniczym — widzimy nocje jasne, odnoszące się do ogrodnictwa praktycznego, a co najważniejsza, że wszystko to najczęściéj opowiedziane jest stylem, nie tylko prostym i łatwym, lecz nawet zwrotami języka czysto ludowéj natury. Kto wié, jak trudno jest wypracować pióro do takiego właśnie stylu i kto się zastanowi że trud podobny u nas, dziś jeszcze, przy niskim stopniu oświaty w massach, więc i niepoczytności dzieł pisanych dla ludu, niewdzięcznym bywa, ten zapewne oceni i poszanuje mozolną pracę redakcyi Zorzy, która w każdym razie, wytrwale postępuje w obranym kierunku. Lecz i tu znowu, niestety! brakuje téjże saméj „żywotności" w ogólném prowadzeniu pisma, któréj brak jest jakby już radykalną wadą wszystkich pism warszawskich! Można-ż bo przecie połączyć moralizowanie ze smakiem i do jednego celu, różnemi, bardziéj malowniczemi lub opustoszałemi zdążać drogami. Powiastka ludowa, opatrzona celem i przykładem, może być napisana łatwo lub ciężko; może zajmować i bawić lub też nudzić czytelnika — tož samo i każdy artykuł pouczający, może być napisany czerstwo, jasno i dowcipnie nawet. Znamy przecież opisy ekskursyjne połowu owadów, przez uczonego naturalistę, Antoniego Wagę, które, obok nauki, mieszczą w sobie tyle humoru, że je każdy jak najbardziéj zajmujące powiastki czyta! Uznając przeto zasługę i pracę Zorzy, domagamy się jednak, wprowadzenia do jéj szpalt *życia*, bez którego nic istotnie nie egzystuje, ani w książce, ani w naturze.

O „Izraelicie", tygodniku wydawanym dla wyznawców Mojżesza — trudno coś stanowczego powiedzieć. Pismo to dla klas izraelitów oświeconych, która nauki pobiera w szkołach i uniwersytetach, a późniéj obyczajami i życiem praktycznem nie różni się zgoła od wszystkich warstw oświeconego społeczeństwa — wcale niepotrzebne — bo ci ludzie, jako członkowie całéj ukształconéj i ucywilizowanéj ludzkości, czerpią ze wspólnych z nią źródeł naukę i różne umiejętności soki; — że zaś, jak sądzimy, prosty lud żydowski, ubogi, i z konieczności goniący za zarobkiem na chleb powszedni, — takiego pisma jak „Izraelita" wcale do rąk nie bierze — owszem nawet, uważa je za szkodliwe swoim tradycyonalnym zwyczajom i za nazbyt wyzwolone — przeto, zapytujemy się, dla kogo istotnie organ ten wychodzi? Pominąwszy to jednak i biorąc fakt tylko, powiemy jeszcze że redakcya „Izraelity" obok wielu pożytecznych, odrębnych artykułów i uczciwych poglądów — grzeszy jedną przeważnie wadą: Oto ciągle, na każdym prawie kroku, spotkać się tam można z przechwałką, że w tym a w tym kraju lub mieście, taki i taki znakomity pisarz, żołnierz, przedsiębierca, artysta lub uczony, jest... żydem! Pojmujemy do pewnego stopnia a nawet uznajemy taką chęć pochlubienia się cnotami lub zasługami współwyznawców redakcyi — uczucie to naturalne i nie u samych tylko izraelitów na jaw wychodzi, lecz uważamy że za główny cel pismu, za ideę organowi, bądź co bądź publicznemu, wystarczyć nie może i niepowinno. Użyteczniéj może, choć mniéj schlebiająco, byłoby raczéj wykazywać wady, ciemnotę, fanatyzm lub próżniactwo — w prostych izraelskiego ludu warstwach, a już z pewnością najwłaściwiéj i najzgodniéj z wyżéj po-

jętemi obowiązkami redakcyi, byłoby wskazywanie współwyznawcom swoim, dróg po których wraz z całą ludzkością iśćby powinni i przykładów dowodzących, że na postęp i na pomyślność społeczeństwa, wszystkie jego warstwy i ogniwa pospołu pracować i składać się powinny.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OBRAZY DAGESTANU

przez

R. Klonowskiego.

(Dalszy ciąg).

Nie mogąc władać prawą ręką, skrępowaną pasem miuryda, a w drugiéj trzymając dziecko od piersi, księżna prosiła Boga żeby kula rossyjska w nią ugodziła, kładąc koniec teraźniejszym i przyszłym jéj mękom; co łatwo mogło nastąpić, gdyż kule karabinowe, kartaczowe, armatnie nawet, ze świstem wkoło niéj latały. Tuż przy niéj kula armatnia rozdarła na pół konia jednego czeczeńca... Ale śmierć, tak gorąco wzywana, minęła księżnę w téj chwili, zachowując ją na daleko okropniejszą przyszłość... Ręka, którą trzymała dziecko, zaczęła coraz więcéj drętwieć i bezwładnieć, a wyrwać drugą z za pasa czeczeńca nie było możności... Dziecko tylko co już nie upada jéj na ziemię, — a czeczeniec pędzi coraz szybciéj i szybciéj... Nieszczęśliwa matka już tylko za jednę nogę trzyma małą Lidyą... Ręka zamarła... ale czeczeniec nie zatrzymuje się, nie słyszy modłów swojéj ofiary. Jeszcze chwila—a bezsilne palce same się rozginają... mocniejsze wstrząśnienie wytrąca z rąk księżnéj dziecię, które z krzykiem pada na ziemię... Księżna chciała rzucić się za niém, ale silna dłoń czeczeńca zatrzymała ją na koniu. Uderzony batem koń poskoczył na bok. Księżna była tylko o jakie dziesięć kroków od dziecka... Wiła się z rozpaczy, lecz napróżno... Zresztą, już i zapóźno było... Konie pędziły za końmi... Po trupie spadłéj dziewczynki przeleciała cała banda rabusiów, przestraszonych zasadzką i uciekających od pogoni. Dziecko zostało stratowane... Jeszcze cokolwiek oddychało i nie przestawało krzyczeć, gdy jeden z czeczeńców silnym ciosem otworzył mu piersi kindżałem. Dziewczynka umilkła... na wieki.... Ciało jéj potém wyszukane, odniesiono ojcu...

Nie sama tylko Lidya padła tego dnia ofiarą: czeczeńcy ze stu uprowadzonych ze wsi kobiet, zamordowali sześćdziesiąt, które w ich oczach nie miały wielkiéj wartości. Trupy ich walały się w różnych miejscach po drodze; ale trzy tylko z tych nieszczęsnych należały do dworu księżnéj Czawczawadze: jedna z pokojówek i żony: rządcy i popa. W miejsce zabitych i rzuconych w ucieczce kobiet, górale zabierali drugie w niewolę, paląc przytém gdzie mogli wsie gruzińskie.

Ze zmierzchem czeczeńcy wjechali do lasu, czyli właściwiéj między owe krzaki kolące, które rosną u podnóża gór kaukazkich. Są to lasy, przez które trzeba sobie torować drogę szaszką lub kindżałem. Dla górali odzianych w czerkieskie burki, o które łamią się cierniste kolce tych krzewów, przeprawa była łatwa; ale kobiety całe były we krwi, a włosy ich co chwila czepiały się o ostre drzew gałęzie. Mimo to posuwano się naprzód, bo się lękano napadu. Koło dziesiątéj wieczorem, oddział zaczął wspinać się na wyżyny, a o północy ukazały się w górach ognie, ku którym się czeczeńcy skierowali. Dokoła panowała cisza. Słychać tylko było słabe krzyki wleczonych kobiet: „Wody, wody, wody!" — Przy ogniach górale zatrzymali się parę godzin, dawali swoim brankom napić się trochę i pospieszali daléj. Droga była tak trudna, że tylko czeczeńcy i ich konie mogli się po niéj przedostawać. Kobiety które szły pieszo, miały nogi całkiem poranione i od czasu do czasu kładły się na ziemi, jęcząc boleśnie: „wolę umrzeć", „wolę umrzeć!"—lecz srogie razy bata stawiały je znów na nogi i zmuszały iść daléj.

Po niejakim czasie wydostano się na równiny i górale znowu się wcwał puścili. Po drodze spotykano pastuchów — szpiegów, którzy rzucali jadącym te tylko słowa: „możecie jechać", albo „droga jest wolną", — i górale pędzili naprzód. Koło jedenastéj znów się zatrzymano. Czeczeńcy rozesłali cztery burki na ziemi kazali na nich usiąść księżnom. Naib jeden, nazwiskiem Hadżi-Kerrat, zdjął swoję podartą czerkieskę i podał do naprawy księżnie Orbeliani. W téj chwili nadjechała p. Drançay.

„Czy widziałaś pani Jerzego?" zapytała księżna.

— „Widziałam go," odrzekła guwernantka, — „aż do wjazdu do boru był przy swojéj mamce."

Księżna Czawczawadze podniósłszy z wysileniem głowę, jedno tylko wyrzekła słowo: „Lidya".

— „Nie widziałam jéj, — odpowiedziała cicho p. Drançay.

„Lecz cóż to pani robisz?" zapytała guwernantka księżnéj Orbeliani.

— „Widzisz, moja Drançay, łatam czerkieskę mego pana; — odrzekła ze smutnym uśmiechem księżna. Francuska mimo oporu księżnéj, wzięła z rąk jéj czerkieskę i sama zajęła się tą robotą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(Dalszy ciąg).

Sybilla spojrzała nań z taką rospaczą, iż w téj chwili żałował zbyt otwartéj odpowiedzi.

— Dobre masz serce, moja Sybillo, powiedział, ale nie troszcz się o takiego dużego jak ja wędrowca, który też sam nie wiele dbam o siebie.

— Więc ja cię stryju nigdy już nie zobaczę? zapytała Sybilla, gotowa wybuchnąć płaczem.

— To cóż, strata będzie moja, nie twoja; a że tak przytrafić się może, żegnam cię Sybillo; jeżeli nazawsze niechże będzie na zawsze, moja mała dzieweczko.

Wziął ją w objęcia, pocałował i zbiegł po schodach. Sybilla słyszała jak się drzwi za nim zamknęły. Pojechał więc, i naprzekór ostrzegawczym głosom, których zapomnieć nie mogła: „Odjedź daléj niż Saint-Vincent, jeżeli możesz," pojechał naprzeciw nieznanego jéj niebespieczestwa. Sybilla wróciła do pokoju, rzuciła się w ubraniu na łóżko, ale spać nie mogła. Gorączka była wstępem doznanych wzruszeń.

ROZDZIAŁ X.

Przeziębienie i wstrząśnienia umysłowe spowodowały Sybilli trzytygodniową chorobę. Kennedy był jakiś czas w wielkiéj obawie. Następnie, gdy choroba przeszła, dostrzegł w swéj córce pewien upadek ducha. Gdy się pytała o powodzenie stryja, odpowiadał: „Twój stryj ma się dobrze", co bynajmniéj nie zmniejszało jéj smutku. Czując że to usposobienie opóźnia jéj przyjście do zdrowia, robił jéj napomnienia powtarzając:

— Mówię ci, że stryj ma się dobrze.

— Czy wróci do nas? smutnie zapytywała Sybilla.

— Cóż cię to tak mocno obchodzi? Nigdy nie myślałem żebyś w nim była zakochana.

Sybilla rumieniła się i kasłała uporczywie w łóżku. Nie mogła opowiadać wszystkiego przed ojcem. Nie mogła mu mówić iż co noc śnił jéj się stryj i pan Smith, w najrozmaitszych walkach ze sobą, i że zawsze z nich Smith wychodził zwycięzcą.

— Dóktor powiada że możesz opuścić łóżko, napierał Kennedy.

Sybilla wstrząsała głową i zamykała oczy. Nie miała wstawać po co. Ojciec jéj był zajęty po całych dniach, do kogóż więc miała wstawać?

Trudna rada z chorymi. Wiedział to Kennedy i starał się wymyśléć lekarstwo.

— Może ciotka Glyn teraz przyjedzie, kiedy Smith odjechał, rzekł do niéj.—Sybilla spoglądała obojętnie i w milczeniu.

— Albo pani Mush — mówił daléj ojciec.

— Co mi po pani Mush — słabym głosem odpowiedziała Sybilla — ona tylko mnie wyśmiewa.

Kennedy przysunął się i pocałował ją w czoło.

— Może anielska Blanka ma przyjechać? szepnął jéj do ucha.

— Och, wykrzyknęła Sybilla radośnie — to by było pysznie! Pieściła ojca, śmiała się, wydawała okrzyki radości.

— Wstań więc i napisz do niéj — rzekł ojciec czule.

Zawołano Denizy. Sybilla ubrała się, poczém ojciec przyszedł po nią i zaprowadził do biblioteki. Gdy list był napisany, zabrał go z sobą, aby oddać na pocztę i wyszedł, mając w Saint-Vincent interesa do załatwienia.

Sybilla pozostała w bibliotece. Spoglądała z okna na klasztor oblany słonecznem światłem, na krzyż pięknie rzeźbiony, na trawę rosnącą między flizami, i czuła się smutną i szczęśliwą zarazem. Poczucie wracającego zdrowia łączyło się z radością ujrzenia znowu swojéj przyjaciółki. Zapomniała o snach które ją w nocy trapiły, zapomniała pana Smith i stryja, a raczéj wspominając o tym ostatnim, łączyła go w marzeniach z Blanką Cains. Myśli téj już pozbyć się nie mogła.

— Kochana Blanka będzie tu na przyszły tydzień — myślała, a może w tym czasie i stryj powróci. Gdy będą razem, koniecznie będą musieli zakochać się w sobie. Ona zupełnie jak dla niego stworzona, on się w niéj zakocha, będzie musiał zwierzyć się mnie, ja to opowiem Blance i będę ją drażnić trochę.

Lekkie uderzenie w szybę obudziło Sybillę z marzenia. Krzyknęła z radości i zadziwu, ujrzawszy stryja Edwarda spoglądającego na nią przez okno. Sybilla prędko otworzyła okno.

— O, stryju, stryju, jakże się cieszę.

— Wistocie? zapytał, i skracając sobie drogę, wszedł przez otwarte okno; — ale jakże blado wyglądasz, — dodał z zajęciem.

— Chora byłam, odpowiedziała Sybilla — ale już się mam lepiéj. Czy już u nas pozostaniesz, stryju?

— O, nie myśl nigdy o przyszłości, odpowiedział niedbale,—przybyłem, to dosyć. Byłaś więc chora, ptaszyno moja?

— Ech, to było tylko przeziębienie, katar płuc, czy coś podobnego.

— Ojciec pewno wyszedł?

— Tak, poszedł do Saint-Vincent.

— Będę więc tu czekał na niego.

— Wybornie, rzekła Sybilla, — tyle mam do powiedzenia ci mój stryju.

— Czy tak? rzekł zajęty szukaniem po kieszeniach paltota. Wyjął nareszcie z niego pakiet i położył na kolanach Sybilli. Otworzywszy znalazła w nim koleżyki wytworne, takie, jakich dawno sobie życzyła, a jakich dostać nie mogła w Saint-Vincent.

— O, jak dobry jesteś, jak pamiętający, — zawołała z błyszczącemi od radości oczami.

— Jeszcze bardziéj byłbym pamiętający, gdybym wiedział o twojéj chorobie. Teraz widzę że to była wcale nie bagatela.

Mówił tonem tak troskliwym, że Sybilla czuła się poruszoną do głębi serca.

— Stryju, rzekła gwałtownie — możesz odtąd co chcesz mówić na mnie, nigdy nie będę się gniewać o to — nigdy.

— Moje dziecię, nie chcę już w tobie wad wykrywać;—zaczynam cię uwielbiać.

— Nie, nie rób tego, wiem że mój ojciec mnie psuje i że trzeba żeby mnie ktoś napominał.

— I tak jesteś łaskawa że mnie ten urząd oddajesz, a potém będziesz mnie znowu nienawidzieć.

— O, nie, nigdy.

— Od czasu do czasu będą przeproszenia, a potém znowu kłutnie i nasza przyjaźń będzie nakształt potoku spadającego po kamieniach; podczas kiedy ja chciałbym ażeby to był piękny, cichy strumień, głęboki i spokojny.

Sybilla pomyślała chwilkę, potém rzekła:

— Stryju, to uczucie jakie dla mnie żywisz nie jest przyjaźnią.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HUMORESKA.

WIRTUOZ.



Nr. 2. Introduzione!

NOWINY.

Wydawnictwa literackie coraz się u nas mnożą. I tak, oprócz dzieł *J. Korzeniowskiego* wychodzących nakładem Redakcyi *Kłosów*, oprócz kompletnego zbioru komedyj *Fredry*, zapowiedzianego przez księgarnię Gebetnera i Wolfa, — oprócz nowego wydawnictwa wszystkich poezyj *Wł. Syrokomli*, przez p. *J. Ungra* — a podobno i wszystkich powieści *J. I. Kraszewskiego*, przez p. Glücksberga, Wydawcę Bluszczu,— dowiadujemy się że w Poznaniu, w drukarni p. Łebińskiego a nakładem Kraszewskiego mają wyjść wszystkie pisma, wierszem i prozą, *Kazimierza Brodzińskiego*, autora *Wiesława*. Zdaje się, iż zamiar ten ze strony Kraszewskiego możemy witać z równém, jeżeli nawet nie z większém zadowoleniem, jak projekta innych wydawnictw.

O ileśmy słyszeli, z dniem 1 Października r. b. mamy ujrzeć jeszcze jeden organ polityczno-literacki, obok tych które już istnieją, p. t. *Figaro*. Od tejże daty *Kolce* kartki humorystyczno-satyryczne, wychodzić będą dwa razy na miesiąc, nakładem i pod redakcyą M. Dzikowskiego. Z początkiem zaś Stycznia roku przyszłego, nakładem znanéj firmy *S. Orgelbranda*, wychodzić zacznie nowe, belletrystyczne, illustrowane pismo, p. t. *Wieniec*. Sądząc ze składu redakcyj, o których choć pobieżnie mieliśmy sposobność zasłyszeć, wróżyć możemy tym przyszłym dzieciom prassy tutejszéj — pomyślnego rozwoju.

Jan Zacharjasiewicz podczas swego pobytu w Warszawie napisał podobno dwie powieści. Jedna z nich nosi tytuł: *Posag*.

Adam Chodyński, założyciel *Kaliszanina*, napisał w Kaliszu, jako owoc swych podróży i zamierza wydać, *Listy z Ciemnéj doliny*, oraz *Podróż po górach olbrzymich*.

Alfred Szczepański wydał monografiją historyczną, odnoszącą się do XVI wieku, p. t. *Wielka wojna Niderlandów z Hiszpanią*, podług Motleya.

Dramat A. E. Odyńca, p. t. *Barbara Radziwiłówna*, przetłumaczony został na język czeski, przez księdza kanonika Sztulca.

Na mogile zmarłego niedawno ś. p. *L. Panczykowskiego*, nieodżałowanego artysty dramatycznego, ma być wzniesiony, na uczczenie jego zasług dla sztuki — pomnik.

Na Wystawie Warszawskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych, zwraca na siebie uwagę nowy obraz Kossaka: *Gawędka przy ognisku*.

W Płocku, w d. 19 b. m. w miejscowym ogrodzie publicznym odbyła się, na korzyść Zakładów Dobroczynnych, loterya fantowa.

Zawiązuje się u nas nowa instytucya ekonomiczna, p. n. *Warszawski Centralny Bank przemysłowy*. Jak słyszeliśmy coś podobnego ma być także otworzoném i w mieście Łodzi, pod firmą: *Bank dla Handlu i przemysłu*.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Дозволено Цензурою. 16 (28) Августа 1871 г.— Redaktor Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*,